



ANNA



Murowany kandydat do jednego z najlepszych thrillerów roku – Lee Child

*Czyta się jak sen, de niepokoi jak koszmar; założenie jest oryginalne,
styl pisania elegancki, a finał niezapomniany. — A.J. Finn*

MATTHEW BLAKE

A N N A
O

Przełożył
Piotr Cieślak



Tytuł oryginału: *Anna O*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers, 2024

Opracowanie graficzne okładki: Madgrafik

Projekt okładki: Claire Ward/HarperCollinsPublishers Ltd

Ilustracja na okładce: © Magdalena Russocka/Trevillion Images

Redaktor prowadząca: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

Copyright © Matthew Blake 2024

Matthew Blake asserts the moral right to be identified as the author of this work

Copyright © for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o.,
Warszawa 2024

Niniejsza publikacja stanowi wybór fragmentów powieści *Anna O* Matthew Blake'a i jest przeznaczona wyłącznie do celów promocyjnych i reklamowych.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Niniejsze wydanie zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
ul. Domaniewska 34a
02-672 Warszawa
www.harpercollins.pl

Skład i łamanie: EDITO

ISBN 978-83-291-0016-8

BEN

– Przeciętny człowiek spędza jedną trzecią życia, śpiąc.

Dziewczyna pochyła się bliżej; na tyle blisko, by owionął mnie zapach drogich perfum. Wtedy zwykle mam już pewność.

– Tym się zajmujesz?

– Tak.

– Jesteś lekarzem snu?

– Ściślej rzecz biorąc, badam ludzi, którzy popełniają przestępstwa we śnie. – Faktycznie mam na wizytówkach „dr” przed imieniem i nazwiskiem. Doktor Benedict Prince, Abbey, Harley Street. Jestem ekspertem w obszarze snu. Ale nigdy nie twierdziłem, że ukończyłem medycynę.

Dziewczyna widzi, że mówię poważnie.

– Jak to w ogóle możliwe?

– Zastanawiasz się czasem, co mogłaś robić przez sen?

Na tym etapie rozmowy ludzie na ogół zaczynają się czuć nieswojo. W większości przestępstw jest coś zniechęcającego. Lubimy opowieści o ludziach, którzy są do nas trochę podobni, ale zarazem nie całkiem tacy jak my. Tymczasem sen zaciera te różnice.

To przypadek wszystkich ludzi; noc jest takim samym pewnikiem jak dzień.

– Jakiego rodzaju przestępstwa?

Nie zmienia tematu. Wciąż ją intryguję.

– Wszystkie najgorsze.

– Przecież ludzie muszą się wtedy budzić?

– Jeśli lunatykują, to niekoniecznie. Znałem pacjentów, którzy śpiąc, zamykali drzwi do domu, wsiadali do auta i ruszali. Niektórzy potrafią zabijać.

– Coś takiego musi się pamiętać!

- Sądząc po drobnych zmarszczkach wokół twoich oczu, wnioskuję, że ostatniej nocy spałaś pięć i pół godziny.

Marszczy brwi.

- Aż tak to widać?

- Pamiętasz cokolwiek z tego, co wydarzyło się przez te pięć i pół godziny?

Milknie i opiera podbródek na prawej dłoni.

- Coś mi się śniło - mówi wreszcie.

- Co konkretnie?

- Nie pamiętam.

- Sama widzisz, że mam rację.

W wyrazie jej oczu nagle coś się zmienia. Patrzy na mnie inaczej. Mówi głośniej, gestykuluje żywiej.

- Czekaj, była taka sprawa... Jak o niej mówili...?

Tak oto docieramy do finału. Mało która moja randka go osiąga. Zauważam dziewczyny opisem swojej pracy. Odstraszam opowieściami o zbrodniach popełnianych przez sen. A jeśli to nie wystarczy, ostatnia rzecz zawsze wieńczy dzieło.

Żadnej nie zdarzyło się zostać, gdy już się zorientowała.

Ani jednej.

- Sprawa Anny O - podpowiadam i pijam ostatni łyk wina, bo szkoda byłoby zostawiać drogiego merlota, a potem sięgam po marynarkę.

- To ty jesteś tym facetem ze zdjęcia. Tym psychologiem.

Uśmiecham się blade, zerkając na zegarek.

- Tak - odpowiadam. - Byłem.

To zdjęcie trafiło na pierwsze strony wszystkich poczytniejszych dzienników po tym, jak sprawa znalazła swój brutalny, naznaczony krwią finał. Zgubny moment, po którym nic nie mogło już pozostać takie samo jak wcześniej. Moment przed wygnaniem i upadkiem. Jestem okularnikiem z rozczochranymi włosami i stylem ubierania się, który można nazwać profesorskim. Zmieniłem się od tamtego czasu. Zarost dodał mi lat, włosy przyprószyła siwizna. Noszę okulary w grubszych oprawkach, które już nie przypominają odrzutu z magazynu rekwizytów na planie *Harry'ego Pottera*. Ale oczu ani twarzy nie potrafię zmienić.

Jestem inną osobą. A zarazem tą samą.

Czekam na ostatnie pytanie, bo pada za każdym razem. Dotyczy tajemnicy, której aura utrzymuje się do dziś, mimo wszystko. Tajemnicy dzielącej rodziny, małżonków, a nawet przyjaciół.

- Była winna? - pyta dziewczyna, z którą umówiłem się na randkę, czas przeszły dokonany. Teraz jestem dla niej upiorem, materiałem do opowiadki przytaczanej w Boże Narodzenie lub Nowy Rok. - Zadźgała dwoje ludzi. Naprawdę uszło jej to na sucho?

CZĘŚĆ PIERWSZA

Rok wcześniej

2

BEN

Londyn

Dzwoni komórka.

Nigdy nie zapomnę tej chwili.

To było pierwsze; tak to się zaczęło.

Zrobiło się późno, mrok zdążył już zgęstnieć i nabrać atramentowego odcienia. Jestem półprzytomny i tkwię w fotelu z tacą letniego curry i do połowy osuszonym kieliszkiem taniego wina. Ekran w kącie pokoju migocze czarno-białym filmem. To mój ulubiony, *Nieznajomi z pociągu*. Inni za najbardziej kultowe dzieło Hitchcocka uważają *Psychozę* albo *Zawrót głowy*. Mylą się. Tylko w *Nieznajomych z pociągu* jest scena z meczu tenisa.

Wibracje telefonu przywołują mnie z powrotem do rzeczywistości, czyli do pokoju. Kleją mi się oczy. Ocieram tłuszcz z dłoni i zerkam na identyfikator dzwoniącego. „PROFESOR BLOOM (Abbey)”. Przeciagam przycisk, nastrojam się do rozmowy i powstrzymuję leniwe ziewnięcie.

– Słucham?

– Wybacz, Benie, że niepokoję cię o takiej nieludzkiej godzinie, ale obawiam się, że akurat to nie mogło poczekać.

Ma poważny ton głosu, co z perspektywy nocnej pory mocno mnie zaskakuje. Profesor Virginia Bloom słynie z żarcików i dygresji. Często widuje się ją maszerującą po Oxford Street w tunice i szpilkach albo gdy siedzi przy narożnym stoliku w restauracji w hotelu Langham z karafką whisky i podręcznym zasobnikiem środków stymulujących.

Słyszę odległy tupot stóp i głosy na linii. Wygląda na to, że Bloom wciąż jest w Abbey. Sprawdzam godzinę. Dochodzi północ.

– Coś się stało?

– Można tak powiedzieć. – Bloom odkasłuje, wydając ten swój specyficzny nosowy, niski dźwięk. – Obawiam się, że to zadanie dla ciebie. Właśnie wpłynęło nowe zlecenie. Wygląda na to, że sprawa jest delikatna.

Jestem psychologiem sądowym. Z moich usług korzysta większość agencji zajmujących się tropieniem przestępców, mój numer mają ludzie z Narodowej Agencji do spraw Przestępczości, Interpolu i FBI. Teraz jednak odnoszę wrażenie, że będę miał do czynienia ze sprawą bardziej tajemniczą niż zwykle.

– Kto stoi za tym zleceniem?

W tle słyszę kolejne hałasy. Bloom sprawia wrażenie rozkojarzonej.

– Przyjedź, proszę, do Abbey. Zabroniono mi rozmawiać na ten temat na otwartej linii.

Oficjalnie jestem na tygodniowym urlopie. Nad głową wisi mi termin ukończenia artykułu do czasopisma naukowego. Mam do uzupełnienia akta trzech pacjentów. Zamierzałem jutro popracować w domu i uporać się ze stertą papierkowej roboty. Z drugiej strony niewiele jest przypadków związanych ze snem, o których ze względu na ich delikatność nie rozmawia się przez zwykły telefon. Czuję się zaszantażowany tajemniczością sprawy, zapewne zgodnie z intencjami Bloom.

– Musisz uchylić rąbka tajemnicy.

Po drugiej stronie słyszę poirytowane sapanie. Bloom milczy, a potem głośno wdycha.

– Wątpię, żebyś mi za to podziękował.

Za oknami czai się niemal arktyczny chłód i brudne niebo siąpiące wrześnieową mżawką. Wizja przemieszczenia się z mojego mieszkania w londyńskim Pimlico na Harley Street już teraz budzi moją niechęć. Mógłbym dalej kisić się w swoim salonie, oglądając Hitchcocka i pijąc kolejną lampkę wina. Ale nie tak jestem skonstruowany.

Dlatego odbieram takie telefony. Zawsze to robię.

– Chodzi o sprawę Anny O – odzywa się wreszcie Bloom. – Chcą nam coś pokazać.

BEN

Abbey Sleep Clinic mieści się przy rogu Harley Street i zajmuje część dawnych terenów stajni w stylu edwardiańskim, które obecnie otacza atmosfera ścisłej dyskrecji. Odwiedzający często zwracają uwagę na kościelną ciszę tego miejsca, oazy spokoju ulokowanej za Oxford Street między zgiełkiem Regent's Park a Trafalgar Square. Niektóre fragmenty budynku wyglądają tak, jakby zostały wyrzeźbione z wapienia portlandzkiego. Klinika Abbey ma w sobie specyficzny bizantyjski sznyt pasujący do markizów w perukach i drugorzędnych członków rodziny królewskiej. Sprawia wrażenie sanktuarium.

Noc – albo młoda godzina, trudno powiedzieć, bo wszak minęła już północ – wciąż jest szara i brzydka, gdy brodząca w kałużach taksówka zostawia mnie na pustym skrzyżowaniu. Chowam się przed deszczem, strząsając jego krople z uszkodzonego czarnego parasola. Taryfiarz odjeżdża zbyt szybko, ochlapując tył moich nogawek. Po raz enty przeklinam Bloom za to, że mnie tu ściągnęła.

Wchodzę po schodkach i wpisuję swój kod, a deszcz sprawia, że palce ślizgają mi się po przyciskach. Stare domostwo ma teraz cztery kondygnacje i już dawno zostało przekształcone w przestrzeń biurową. Tylko mała srebrna tabliczka na zewnątrz świadczy o tym, że mieści się tu klinika snu. Widnieje na niej numer telefonu, ale nie ma adresu mailowego. Strona internetowa Abbey jest ostentacyjnie nijaka. Są na niej wymienieni członkowie personelu oraz ich kwalifikacje, lecz próżno szukać choćby jednego zdjęcia. Ten wizerunek jest dobrze przemyślany, podobnie jak wszystko inne tutaj. Jesteśmy skrzydłowymi, którzy mogą zabłysnąć na boisku od wielkiego dzwonu. To złota zasada wszystkich specjalistów gmerających w ludzkich umysłach: słyhać nas, ale nie widać.

Nic się nie dzieje. Ocieram przyciski rękawem, ponownie wpisuję kod i wreszcie rozlega się charakterystyczne metaliczne stuknięcie otwieranego zamka. Zastanawiam się, czy Bloom udało się ściągnąć innych, to znaczy moich kolegów po fachu, szanowanych specjalistów od snu. Ale recepcja i poczekalnia są skąpo oświetlone i puste. Czuję się tak, jakbym po przyjściu do szkoły znalazł się w auli jako jedyny uczeń. Jest coś dziwnego w oglądaniu znanego mi miejsca, w którym nie panuje rutynowy zgłęb.

– Profesorko!? – wołam.

Lecz moje słowo odbija się echem i milknie. Zapalam górne światła. Wydobywają z mroku wnętrza w neutralnych, kojących barwach. Niedawno rozłożono tu nowy dywan, wciąż przyjemnie uginający się pod stopami. Powietrze sprawia wrażenie wyjątkowo czystego; jest pompowane przez specjalne filtry wbudowane w ściany. Zazwyczaj rozbrzmiewa tu jakaś muzyka. Dźwięk pieści uszy pacjentów, dopóki rachunek nie przywróci ich do rzeczywistości. Abbey kojarzy się z łonem matki, które chroni przed zawieruchą zewnętrznego świata. Sen jest wszak zjawiskiem pierwotnym.

– Profesorko?

Nadal cisza. Stawiam parasol obok wieszaka i wyswobadzam się z przemoczonej kurtki. W recepcji umieszczono kilka monitorów pokazujących widok z kamer bezpieczeństwa ulokowanych z przodu i na tyłach budynku. Nasi klienci tego wymagają. Celebryci przed ślubem, politycy wspinający się po szczeblach kariery, futboliści w dołku sportowej formy, członkowie rodziny królewskiej stojący w obliczu kolejnego skandalu – wszyscy chwiejnie drepczą przez gustowne wejście do kliniki z opuchniętymi twarzami, świadczącymi o poważnym niedospaniu. Żaden człowiek nie może obejść się bez snu, tak samo jak bez jedzenia czy wody. Klinika Abbey jest współczesną świątynią, w której wycisza się demony psychiki. Ludzie płacą chore pieniądze tylko za to, by wreszcie zapnąć w sen we własnych łóżkach.

Budzę monitory do życia. Ekranu pokazujące frontowe i tylne wyjście migoczą miarowo. Pozostawiam je włączone i staję obok windy, czekając cierpliwie. Jestem zbyt zmęczony na wchodzenie po schodach. Na umazanym odciskami palców stoliku kawowym nieopodal windy leży sterta czasopism. Czekając, sięgam po egzemplarz „New Scientist”. Znajduję

wzmiankę na nasz temat w małej sekcji z krótkimi wiadomościami ze świata. Klinika Abbey udziela konsultacji w sprawach kryminalnych prowadzonych na całym globie na mocy lukratywnych kontraktów podpisanych ze Scotland Yardem i innymi organami ścigania. Wszystkim tym zawiaduje profesor Bloom, którą „Times” nazwał kiedyś „najwyższą brytyjską wyrocznią w sprawach snu”. Artykuł, w którym padły te słowa, nadal wisi oprawiony w ramkę na ścianie jej gabinetu.

Słyszę sapnięcie windy. Uświadamiam sobie, że znam każdy centymetr tego budynku. Próbuję policzyć, ile nocy zarwałem przez rozmaite kaprysy Bloom. Po chwili uznaję, że zbyt dużo. Ale przypadek Anny O jest inny. Bloom nie ośmieliłaby się kusić mnie nim nadaremno. Anna O jest Świętym Graalem dla wszystkich ekspertów od snu. Od czasu, gdy naświetlono jej sprawę – a minęły już ponad cztery lata – stanowi nieodgadnioną tajemnicę.

Nie, Bloom nie byłaby aż tak okrutna. Przynajmniej nie wobec mnie.

Docieram na najwyższe piętro. Mieszczą się tu tak zwane pomieszczenia dla kadry kierowniczej, choć tak naprawdę każde z nich przypomina schowek na miotły. Wstęp mają tu tylko członkowie personelu, co wyjaśnia charakter wnętrza, które mogłoby konkurować przytulnością z Alcatraz. Jestem jedną z siedmiu osób, które pracują w Abbey na pełny etat. Poza nami regularnie pojawia się tu też dziesięciu specjalistów pełniących funkcje pomocnicze – neurologów, psychiatrów, psychologów, psychoterapeutów i ekspertów w dziedzinie terapii miofunkcjonalnej¹ – którzy wykonują pełną gamę zabiegów związanych ze snem. Mój gabinet znajduje się na końcu korytarza i jest jednym z nielicznych z działającym zamkiem. Gabinet Bloom jest pierwszy, największy i wystawniejszy od pozostałych, ozdobiony obrazami w złożonych ramach i wyposażony w niewidoczną na pierwszy rzut oka lodówkę z napojami.

Bloom czeka na mnie w drzwiach gabinetu z poirytowaną, zasępioną miną. Spinka, którą starała się ujarzmić burzę siwych włosów, porusza się w rytm ziewnięcia. Jest po sześćdziesiątce, ubiera się w co popadnie, a jej operową tuszę kryją wielobarwne warstwy odzieży w kanarkowych,

¹ Terapeuci z tej dziedziny zajmują się między innymi łagodzeniem zaburzeń związanych z chrapaniem i nieprawidłowościami oddychania (przypr. tłum.).

truskawkowych i różowych odcieniach; oczy spoglądają zza okularów w stylu Hanka Marvin. Mimo rockandrollowych zapędów rzadko zdradza zmęczenie czy potrzebę snu. Ma za to nienasycony apetyt i niewiarygodnie mocną głowę do alkoholu. Jest chyba ostatnią przedstawicielką swojego pokolenia: dwie butelki do obiadu, popołudniowe drzemki i środkowy palec sztywno wystawiony frontem do wszystkiego, co dotyczy szeroko pojętego działu kadr. Nosi piętno niewypowiedzianego grzechu swojej płci, ostentacyjnie obnosząc się z bezdzietnością. Smakoszka, gawędziarka, kawalarka. Idąc przez życie, kieruje się rozumem. To jej dar i przekleństwo.

Za jej plecami dostrzegam jeszcze kogoś. Patykowatego mężczyznę o fizjonomii fretki, która kojarzy mi się z kaśliwym prawnikiem. Obcy. Jestem zaintrygowany.

– Widzę, że mam komitet powitalny – mówię, czując, jak zmoczona prawa nogawka spodni klei mi się do łydki. – Możecie mi wyjaśnić, w czym rzecz?

Wchodzę do gabinetu Bloom. Człowiek-fretka wstaje. Z bliska robi wrażenie groźniejszego. Ma sztywne, bardzo dokładnie zaczesane włosy. Wygląda na człowieka po pięćdziesiątce, z wydatnym nosem i wdowim szpicem na czole. Na stole obok jego krzesła leży teczka z symbolem Ministerstwa Sprawiedliwości. Zaczynają mi się pocić dłonie. Czyli Bloom nie żartowała. Chodzi o sprawę na szczeblu wyższym niż organy ścigania czy nawet Narodowa Agencja do spraw Przestępczości. Rzekłbym, że ministerialnym.

– Wybacz, ale to naprawdę nie mogło czekać – zaczyna Bloom. – Doktorze Prince, to Stephen Donnelly, zastępca dyrektora do spraw prawnych w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Donnelly wyciąga rękę i anemicznie potrząsa moją dłońią. Patrząc mi w oczy, zaczyna mówić przyciszonym głosem:

– Doktorze Prince, obawiam się, że zanim zaczniemy, musimy omówić kilka zasad.

– Tak? – Staram się ukryć zaskoczenie.

Kwęka, zmagając się z katarem, a każde zdanie jest naznaczone pociągnięciem nosem.

- Tak. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, na końcu poproszę o podpisanie kilku formularzy.

- Jakiej treści?

- Po pierwsze takiej, że dzisiejsze spotkanie nie miało miejsca. Po drugie, nigdy się nie spotkaliśmy. Po trzecie zaś nic, czego się pan za chwilę dowie, nie może wyjść poza mury tego budynku, a ściślej rzecz biorąc, tego pomieszczenia. W razie pytań proszę odpowiadać, że wrócił pan do biura w celu zabrania do domu akt kilku pacjentów. Czy to jasne?

Mam ochotę się uśmiechnąć, ale widzę, że Donnelly nie żartuje.

- A zatem o czym mowa?

- Czy to oznacza zgodę na podane warunki?

- Mam jakiś wybór?

- Nieszczególnie. - Donnelly wskazuje gestem wolne krzesło. - Proszę spocząć.

BEN

Oboje chcieliśmy uniknąć tego scenariusza.

- Ben.

- Clara.

- Świetnie wyglądasz.

- Dziękuję.

- Choć chyba trochę przytyłeś w pasie. Zgaduję, że wieczory na kanapie z gotowymi lasagne z supermarketu robią swoje. I pewnie herbatniki. Mam rację?

- Jak zawsze miło cię widzieć. Ale teraz chodź za mną, proszę.

Objęta pełną ochroną sala zabiegowa dla VIP-ów wymaga przebycia labiryntu skanerów na piętrze. Idziemy w milczeniu, a potem czekamy na windę.

- Naprawdę zebrało ci się na dowcipkowanie z mojej tuszy?

Clara, czy też po ostatnim awansie raczej pani nadkomisarz Fennel, nie patrzy na mnie wprost.

- Jesteśmy zawodowcami, Benie. Wzięliśmy tę robotę. Nie jestem z tego powodu ani trochę szczęśliwsza od ciebie.

- Nie gadaj.

- Nie odbierałeś moich telefonów.

Mimo wszystko tęsknię za nią, ale nie mogę się do tego przyznać. Tęsknię za naszym starym domem w Oksfordzie. I za naszą córką Kitty, która biegnie korytarzem, gdyż usłyszała zgrzyt mojego klucza w zamku. Tęsknię za leniwymi niedzielami w łóżku z jakimiś papierami i cudownymi strzępkami wolności od dzwoniącej komórki i roboty. Tęsknię za rodziną, jaką kiedyś tworzyliśmy.

Zgodnie z orzeczeniem sądu córka zamieszkała z Clarą, a ja mogę się z nią widywać. Wyszło tak głównie dlatego, że Clara została w naszym

wspólnym domu, zanim przeprowadziła się do Londynu. Moje chęci do równego podziału obowiązków opiekuńczych torpeduje brak drugiej sypialni w mieszkaniu w Pimlico.

Nie stać mnie na większe mieszkanie, a Clara nie ustąpi w sprawie podziału obowiązków, dopóki nie będę miał podstaw.

Żadne z nas nie chce iść z tym do sądu.

Do wejścia dla VIP-ów na piętrze docieramy drugą drogą, niezależną od głównej klatki schodowej. Zespół Służby Więziennej Jej Królewskiej Mości zrobił już, co do niego należało, bezpiecznie przenosząc osadzoną, zwaną chwilowo pacjentką, do jej pokoju. Pielęgniarka robi badania. Udający cywila funkcjonariusz z jednostki specjalnej Scotland Yardu zapoznaje się z systemem kamer przemysłowych. Zostaje tylko nas dwoje.

Wpisuję kod do sekcji dla VIP-ów i czekam na zazielenienie się pulsującej diody. Jaśniejące bielą wnętrze ma bardziej sterylny charakter niż reszta budynku i wygląda jak skrzyżowanie centrum konferencyjnego ze starymi szpitalami psychiatrycznymi. Pomieszczenie dla VIP-ów jest przed nami.

- Pamiętaj, z kim mamy do czynienia - mówi Clara.

- Z pacjentką potrzebującą mojej pomocy?

- Nie, z morderczynią, która dziesięciokrotnie dźgnęła nożem każdą ze swoich ofiar. Nie traktuj tego w kategoriach eksperymentu na potrzeby swoich psychologicznych teorii. Trzeba ją obudzić i zrobić swoje.

- Jeśli ty i Ministerstwo Sprawiedliwości pozwolicie mi zrobić moje.

Clara przybrała tak dobrze mi znaną pogardliwą minę, jakbyśmy znowu kłócili się w kwestii zmywarki. Ona jest nadkomisarzem, ja jedynie konsultantem. Ukończyła z wyróżnieniem uczelnię w Hendon i ma zdobyty w Oksfordzie tytuł magistra kryminologii stosowanej. A ja jestem ekspertem w obszarze snu z dyplomem Open University i od dekadę prowadzę zajęcia na studiach wieczorowych. Te z pozoru niewielkie różnice nabrzmiały z biegiem czasu, drobny uraz przemienił się w rozdrapaną ranę.

- Zasadniczo nie jest morderczynią.

- Nie uważasz zadźgania dwojga ludzi na śmierć za morderstwo?

- Powiedzmy, że w świetle obowiązującego w tym kraju prawa nie orzekła tego ława przysięgłych złożona z dwunastu mężczyzn i kobiet.

– Formalność.

– Nie, po prostu fakt.

– Na litość boską, wysłała do swoich bliskich wiadomość, że to zrobiła.

Te niesławne kilka słów wysłane przez WhatsAppa do rodziny były cytowane tysiące razy. Prawie wszystkie materiały dokumentalne dotyczące Anny O zaczynają się tak samo.

Przepraszam. Chyba ich zabiłam.

Większość ludzi wychodzi z założenia, że aby wysłać coś takiego, trzeba być świadomym. Co oznacza, że Anna musiała być przytomna w trakcie popełniania czynu. Winna. Ale komentatorzy nie znają tajników snu tak jak ja. Ludzie teoretycznie śpiący potrafią robić rzeczy o wiele bardziej skomplikowane niż wysyłanie wiadomości na WhatsAppie.

– Winę trzeba udowodnić. Pręgierz opinii publicznej się nie liczy.

– Nie było cię tam wtedy, Benie. Nie widziałeś tego co ja.

Słyszałem opowieści na ten temat. Mogę sobie tylko wyobrażać, jaką potwornością była ta scena. Dla Clary, dla rodziny, dla samej Anny. Nawet gdyby się obudziła tuż po dokonaniu zbrodni, widok ciał mógłby w zupełności wystarczyć do zapadnięcia w głębszy, niekończący się sen. Do wyłączenia funkcji organizmu. Psychicznego przeciążenia.

Czuję w sobie pradawny ból, ten, który łączy miłość z nienawiścią. Chciałbym powiedzieć Clarze tak wiele rzeczy; tak wielu spraw żałuję. Ale nasz związek wypalił się dawno temu. Trudno od czegoś zacząć.

– Tak przy okazji, popełniłem błąd – mówię. – Chodzi mi o ubiegły tydzień. O nieodebranie twoich telefonów i córki ze szkoły. Źle się stało. Wybacz.

Clara milknie i odgarnia z twarzy kosmyk włosów.

– Po prostu zaopiekuj się nią w ten weekend – prosi, a w jej głosie znów słychać serdeczność. – Od czasu, gdy zobaczyła te zdjęcia, nie jest sobą. A przy tobie zachowuje się zupełnie inaczej niż przy mnie.

– To nieprawda.

Clara uśmiecha się smutno i spogląda na zegarek.

– Jest prawie druga w nocy, a ja za sześć godzin mam odprowadzić ją do szkoły. Działajmy, dobrze? Powinieneś poznać swój nowy kontakt.

8

BEN

Harriet Roberts, starsza pielęgniarka oddelegowana ze szpitala Rampton o podwyższonym rygorze, nerwowo przechadza się po sali zabiegowej.

- Powinniśmy zastosować względem niej konkretne reguły postępowania - mówi.

- Na przykład?

W jej głosie słychać stanowczość, jak u nauczycieli wychowania fizycznego, których pamiętam ze szkoły. Jest szczupła i przypomina elfa, a włosy w kolorze kory dębu laskoczą jej ramiona. Wymalowana na twarzy uprzejmość klóci się ze stanowczością właściwą placom apelowym i dyscypliną wykuwaną przez dziesięciolecia pracy na oddziale. Rampton, podobnie jak Broadmoor, ma w sobie coś z więzienia. Niewinność umiera już w pierwszym kontakcie z tą placówką, łagodność idzie w ślad za nią. Jedno i drugie zostaje zastąpione samoobronnym pancerzem.

- Zasłony podnosimy nie później niż o ósmej. Światła gasimy punktualnie o dwudziestej drugiej. Pierwsza część dnia jest poświęcona na pobudzanie mięśni, druga na stymulowanie umysłu.

- A jeśli chodzi o nadzór?

- Poprawiać poduszki, dbać o dobry przepływ krwi, rozmawiać. To na razie tyle w kwestii moich wskazówek z medycznej perspektywy.

- Rozumiem.

Cyba w jakiś sposób ją uraziłem, być może przez sam fakt, że zadałem jej te pytania. To standardowy problem psychologa. Neurolodzy patrzą na ciebie z góry, psychiatrzy pouczają, a pielęgniarki lubią poniżać. Wzmianka o medycznej perspektywie pojawiła się nieprzypadkowo. Z drugiej strony, nie mam jej czego zazdrościć. Szkolenie pielęgniarek koncentruje się na przywracaniu ludzi do zdrowia, a nie na masowaniu nóg podejrzanym o morderstwo. Zastanawiam się, jak trafiła do Rampton, a nie

do zwykłego szpitala. Co ją skłoniło, by zajmować się wyrzutkami społeczeństwa i spędzać życie na opiekowaniu się zbrodniarzami i szaleńcami.

Nie zważając na emanujący z niej chłód, postanawiam zadać zasadnicze pytanie:

– Jeśli dobrze rozumiem, opiekowałaś się tą pacjentką od chwili przyjęcia jej na oddział?

Harriet przytakuje i dodaje:

– Od ponad czterech lat. Jestem jej główną opiekunką. Trudno uwierzyć, że minęło aż tyle czasu.

W jej odpowiedzi wyczuwam swoistą dumę. Niektórzy ludzie myślą, że to tylko praca, i mało kto zdaje sobie sprawę, z czym tak naprawdę się wiąże. Mimo nieokazywania uczuć, to właśnie Bloom nauczyła mnie, na czym polega prawdziwe zaangażowanie. Nie chodzi o słowa, tylko o podjęte działania.

– Wygląda na to, że robiłaś o wiele więcej, niż wynikałoby z twoich obowiązków. Cztery lata... robi wrażenie.

Harriet się uśmiecha. Przebijają z niej starannie tuszowane resztki emocji.

– To nigdy nie była dla mnie zwykła praca. Raczej powołanie. A ona nie mówi, co chyba mi trochę pomaga.

– Byłaś przy Annie cztery tygodnie temu, gdy pojawiły się anomalie na wykresach?

Zerka na mnie z na nowo rozbudzonym zainteresowaniem i odpowiada z westchnieniem:

– To chyba tylko kwestia technicznego błędu. Lekarze trzymali rękę na pulsie.

W jej głosie wyczuwam wahanie, dlatego pytam:

– Masz inną teorię?

Harriet sprawia wrażenie lekko zażenowanej, jakby niepewnej siebie.

– Może to zabrzmieć głupio, lecz moim zdaniem chodzi o bodźce z zewnętrznych źródeł. Ale to tylko gadanie pielęgniarki. Żaden z lekarzy nie potraktował tego poważnie.

– Jakie bodźce?

– To naprawdę głupie.

- Jestem ciekaw.

- Któraś z nowych sprzątaczek słuchała muzyki ze Spotify z telefonu. Wyłączyła automatyczną zmianę piosenek i w kółko leciał ten sam kawałek. To była jedyna zmiana, jaką kojarzę na przestrzeni ostatnich czterech lat.

- Co to za kawałek?

- *Yesterday* McCartneya.

- Jesteś pewna?

- Pamiętaj, że lekarze spuścili na to zasłonę milczenia. Powiedzieli, że to psychobelkot. Pewnie wiedzą, co mówią.

- Niech zgadnę, neurologdy?

Harriet tylko kiwa głową w obawie przed wieszaniem psów na bar-dziej wykształconych kolegach.

- Mhm.

- Zauważyłaś jakieś inne fizyczne symptomy?

- Oczywiście. Zwykle są nieruchome. Ale gdy leciał ten kawałek, drgały. Podobnie jak prawa ręka. Lekarze uznali, że to tylko skurcze mięśni, które nie mają z niczym związku. Ale widziałam to kilka razy.

Kiwam głową i zapewniam:

- Wykorzystam tę informację.

Harriet kończy pracę i odchodzi od łóżka.

- Dobra. Niedługo wrócę. W razie czego masz mój numer.

- Jasne.

Drzwi się zamykają, ciężkie zapadki zatraskują się na swoich miejscach. Dziwnie się czuję sam w takim pomieszczeniu. Przez lata nazywałem się artykułów dotyczących tej sprawy, do dziś w „Guardianie” i w „London Review of Books” regularnie pojawiają się krytyczne komentarze w kwestii Anny O. Problem „męskiego spojrzenia”. Wytwór mediów. Kobieta upadła. Grzech biblijnej Ewy. Na uniwersytecie Goldsmiths jest nawet kurs poświęcony mizoginii, mitom i mediom, w którym sprawa Anny O zajmuje poczesne miejsce.

Wielu ludzi postrzeża mit Anny O niejako na odwrót. Widzą w niej nie złoczynię, ale ofiarę. Próbując sobie wyobrazić reakcję Clary na takie postawienie sprawy, postanawiam, że nigdy o tym nie wspomnę. Cięży

na mnie takie samo piętno winy jak na reszcie. Gdy wchodzę na stronę Amazona, na pierwszym miejscu wyświetla mi się książka niejakiego Benedicta Prince'a pod tytułem *Anna O i inne zagadki umysłu*, opublikowana przez wydawnictwo Viking w 2021 roku. W zasadzie to bestseller... ale tylko w Belgii.

Podchodzę do łóżka. Ekrany migają. Kable się plączą. Rozmaite rurki przeplatają się ze sobą, a całość wygląda jak wielka miska spaghetti.

Nerwowo kaszlę w maskę. Pierwsze, co rzuca mi się w oczy, to jak drobna jest w rzeczywistości Anna. Zdjęcia masowo publikowane przez wszystkie media nie oddają jej prawdziwego wyglądu... a może już się przeterminowały. Mała istota zupełnie nie wygląda na zbuntowaną córkę polityczki i finansisty. Bezbronna, pozbawiona całej swej zbroi, sprawia wrażenie znacznie starszej, niż wynikałoby z metrykalnych niecałych trzydziestu lat.

Uświadamiam sobie, że „Anna O” jest postacią wykreowaną przez tabloidy. Tymczasem ważąca niegdyś prawie sześćdziesiąt kilogramów Anna Ogilvy ma niecałe metr sześćdziesiąt wzrostu. Zgodnie z dokumentacją medyczną w dzieciństwie miała zapalenie migdałków, w wieku nastoletnim przeszła mononukleozę, a w szóstej klasie złamała prawą nogę podczas gry w hokeja. W chwili popełnienia morderstw miała dwadzieścia pięć lat, była wysportowana – może nawet aż za bardzo – i oprócz niskiej zawartości tkanki tłuszczowej mogła się pochwalić nieznacznie przyspieszonym metabolizmem.

Krótko mówiąc, idealnie wpisuje się w wybrany przez siebie sposób zabijania. Zadżganie kogoś wymaga raczej wytrzymałości niż brutalnej siły. Obydwa morderstwa zostały popełnione przy użyciu profesjonalnego noża kuchennego o miękkiej rękojeści i dwudziestocentymetrowym ostrzu. W czasie dokonania zbrodni narzędzie to można było kupić w sieci sklepów John Lewis za niecałe dwadzieścia funtów. Taki nóż przecina życiodajne narządy ze sprawnością szefa kuchni siekającego mięso. Tylko liczba zadanych pchnięć, wymagająca znacznego wysiłku fizycznego, sugeruje coś w rodzaju amoku.

Nieopodal łóżka stoi taboret. Siadam. Patrę na migoczące ekrany i żyjące własnym życiem rurki. Zerkam na kamery i wyciągam telefon.

Uruchamiam Spotify i puszczam pobrany wcześniej utwór *Yesterday*. Mój urękawiczony palec wskazujący klei się do szklanego ekranu. Piosenka wydaje się słusznym wyborem. Moja teoria diagnostyczna – wciąż w powijakach, nie mówiąc o jej udowodnieniu – opiera się na wykorzystaniu bodźców kulturowych, które mogą obudzić pacjenta dzięki wywołaniu wspomnień szczęśliwych czasów w jego życiu. Widywałem już pacjentów, którzy reagowali na podobne sygnały z przeszłości: ukochane utwory matki, stare pieśni kościelne, nutę ulubionego telewizyjnego dżingla. Z głośnika dobiegają tony gitary akustycznej. Trzymam telefon blisko Anny i uważnie przenoszę wzrok między ekranami a jej twarzą. Wchodzi wokal.

Nic się nie dzieje. Kreślone na monitorach linie ani drgną. Twarz Anny pozostaje nieruchoma; jej głowa spoczywa na poduszce w absolutnym bezruchu. Zamierzam się poddać, wyłączyć muzykę i przypisać zaobserwowane wcześniej zmiany czystemu zbiegowi okoliczności. Być może neurologdy mieli rację. Zanim jednak decyduję się stuknąć przycisk pauzy, Anna mruga lewym okiem. Prawie nie dostrzegam tego drobnego tik, przekonany, że zmysł wzroku płata mi figle. Ale po chwili pojawia się znowu, tak jak opisała to pielęgniarka. Najlżejszy przeblysł świadomości, ty-leż blahy, co zaskakujący.

Zerkam na ekran i widzę ledwie zaznaczający się uskok kreślonej linii. Równie łatwy do przeoczenia jak ten przed czterema tygodniami. Odtwarzam utwór jeszcze dwukrotnie, ale nie wywołuję żadnej innej reakcji. Tłumię w sobie uczucie rozczarowania.

Niedługo później pielęgniarka ponownie wchodzi na salę. Chowam telefon do kieszeni. Zgodnie z panującymi tu regułami, do sal pacjentów nie wolno wnosić żadnych urządzeń elektronicznych poza aparaturą medyczną. Przez chwilę zastanawiam się, czy Ministerstwo Sprawiedliwości prowadzi tu stałą obserwację; czy ktoś z Whitehall śledzi każdy mój ruch. Na samą myśl o tym dostaję gęsiej skórki.

- Musimy ją teraz nakarmić – mówi Harriet tym samym co wcześniej lekceważącym, lakonicznym tonem. – Przydałam ci się na coś?

- Tak – odpowiadam, postanawiając nie dzielić się z nią informacjami o muzycznym eksperymencie. Potrzebuję więcej czasu na przemyślenie

tego, co widziałem. Albo tego, co mi się tylko wydawało. – Dziękuję. Bardzo się przydałaś.

Wychodzę z sali i idę na parter. Clara szykuje się do wyjścia. Podchodzi do mnie.

– Benedict Prince. Psycholog i cudotwórca?

Uśmiecham się.

– Nawet ja nie jestem ani tak dobry, ani tak szybki. Wciąż śpi.

– Nie kusiło cię, żeby zrobić sobie selfie do kolekcji?

To jedna z tych uwag, które przypominają mi najczarniejsze momenty naszego małżeństwa. Półroczne od chwili przyjścia na świat Kitty albo ten czas, gdy znalazłem w telefonie Clary esemesy do innego mężczyzny. Wzdrygam się na myśl o szokujących doniesieniach prasowych na temat funkcjonariuszy Scotland Yardu, którzy robią sobie selfie ze zwłokami, albo o ohydnych czatach na WhatsAppie z fantazjami o gwałtach i morderstwach. Zastanawiam się, z jakim bagażem Clara wraca każdego dnia do domu. To jeden z tych powodów, dla których wolałbym współdzielić obowiązki opieki nad córką, zamiast zajmować się nią tylko w niektóre weekendy. Nie chcę, żeby KitKat stała się kolejną ofiarą tej pracy.

– Wyjaśnij mi coś – mówi Clara. – Wszyscy lekarze twierdzą, że jej stan nie ma podłoża neurologicznego. Żadne badanie, te różne encefalogramy, testy, morfologie, punkcje lędźwiowe czy co tam sobie chcesz, nie daje żadnych sensownych wyników. Jak zdrowy mózg może nakazać organizmowi tak długi sen? Dlaczego nikomu nie udało się zdjąć z niej tego zaklęcia?

Zbieram myśli, zastanawiając się, czy powiedzieć jej o mojej muzycznej teorii. Te same pytania od dawna prześladują mnie i innych. Pamiętnej nocy cztery lata temu Clara wracała z późnej zmiany na posterunku w Abingdonie, myśląc tylko o szybkim prysznicu i przebraniu się, gdy przez policyjne radio dotarł do niej komunikat o incydencie na obrzeżach Burfordu. Była najbliżej miejsca zdarzenia i jako pierwsza odpowiedziała na wezwanie. Ruszyła objazdem, dotarła na miejsce zwane po prostu Farmą i przejęła dochodzenie, zanim zdołał to zrobić ktokolwiek inny. Był to jej debiut w roli oficer śledczej. Wskutek tej nocnej wyprawy jej kariera policyjna i nasze życie jako rodziny zmieniły się raz na zawsze.

- Bo to nie kwestia jej mózgu, tylko umysłu - odpowiadam. - Zjawisko jest o wiele bardziej złożone. Z drugiej strony, twoim słowem trudno zaprzeczyć.

- Za chwilę powiesz mi, że wszystko sprowadza się do jej traumy z dzieciństwa.

- Jest to jakaś myśl.

Docieramy do drzwi wejściowych i znów uderzamy w bardziej oficjalne nuty.

- Myślałam, że masz dziś wolne.

Tłumię kolejne ziewnięcie.

- Miałem.

- Mówię serio. Zadbaj o Kitty w ten weekend. Ostatnio miała w szkole trochę problemów, więc potrzebuje pozytywnego bodźca. I pogadaj z nią o jej nocnych koszmarach.

Znów czuję nieprzyjemny ucisk w brzuchu. Byłem tak pochłonięty własnymi sprawami - rozstaniem, tymczasowym mieszkaniem - że nie zwróciłem uwagi na kłopoty córki. Dlatego nie mówi o swojej nowej szkole. Kiedyś znałem każdy najmniejszy szczegół jej życia. Teraz orientuję się w nim tylko z grubszą.

- Przyjadę po nią jutro o wpół do czwartej. - Zerkam na zegarek. - To znaczy dzisiaj.

Clara kiwa głową.

- Nie spóźnij się. Ile można.

Zdobywam się na uśmiech.

- Nie martw się. Będę na czas.

EMILY

– Jesteś pewna, że dasz radę pozamykać?

Emily Ogilvy posyła mu mordercze spojrzenie. To jedna z niewątpliwych wad przekwalifikowywania się na późniejszym etapie życia.

– Myślę, że jakoś sobie poradzę – odpowiada.

– Pamiętaj, że klucz...

– Trzeba popchnąć dość mocno i poczekać na kliknięcie. Pamiętam.

Wikary promienieje tak, jak umięją to robić tylko mężczyźni po dwudziestce, którzy wciąż oczekują, że świat padnie im do stóp. Emily odpowiada beznamiętnym uśmiechem, odliczając w myślach sekundy do zamknięcia za sobą drzwi. Z wdzięcznością umyka do małego aneksu kuchennego z boku kancelarii i parzy sobie kubek mocnej angielskiej herbaty śniadaniowej, dodając do niej czubatą łyżeczkę cukru. Co gorsza, rozgląda się w poszukiwaniu kawałka czekolady.

Oczywiście ją ostrzegali. Wciąż ma przed oczami zdumione spojrzenia przyjaciół i rodziny, gdy im o tym powiedziała. Mało kto otwarcie wyraził sprzeciw. Tylko dziwne dąsy i uniesione brwi mówiły wszystko o ich niechętnym nastawieniu. Jednak odkąd zrezygnowała z piastowanego stanowiska, nie miała wielu innych wyjść. I tak, ku ogólnemu zaskoczeniu, baronowa Ogilvy z Kensington przemieniła się w Emily Shepherd, ordynariuszkę i przyszłą kapłankę w kościele pod wezwaniem Świętej Małgorzaty w opactwie westminsterskim.

W lodówce nie ma nic oprócz mleka owsianego – kolejny przejaw syndromu dwudziestokilkulatka, który musi wszem wobec pokazać swoje

nastawienie do kwestii zdrowia – niechętnie dolewa więc to mleko do herbaty i lekko się krzywi, smakując napój. Nieczęsto ma sposobność samodzielnego panowania nad tym miejscem choćby przez pół godziny.

Opactwo westminsterskie stanowi, rzecz jasna, stały cel turystów. Kościół św. Małgorzaty jest przybytkiem polityków, w którym odbywa się coroczna kolęda parlamentarna. To jedno z tych wydarzeń, których się obawia. Kojarzy się jej z powrotem do starej szkoły i spotkaniem z dawnymi przyjaciółmi, którzy gapią się na ciebie w twoim nowym oficjalnym stroju. Nagle Emily strofuje w myślach samą siebie. Jest po pięćdziesiątce, a jednak dziwnym trafem życie zawsze biegnie tym samym torem. Ludzie uparcie pozostają tacy sami.

Emily zamierza właśnie wrócić do głównej części kościoła, gdy jej telefon daje o sobie znać wibracjami. Z uśmiechem wspomina czasy, gdy bez przerwy miała przy sobie kilka elektronicznych urządzeń. Kiedy piastowała swoje rządowe stanowisko i była członkinią gabinetu cieni, nosiła prywatną komórkę, rządowego iPada i zabezpieczony telefon przysługujący jej jako ministrowi – nie mówiąc już o mrowiu skrzynek e-mailowych, nieustannie doglądanych przez jej personel. Trafiające do niej wiadomości niejednokrotnie musiały pokonać pięć kolejnych etapów. Teraz ma małego, starego iPhone'a z kontem Gmail i WhatsAppem. Nowa wiadomość dotarła do niej e-mailem. Zerka na nią, a potem raz jeszcze, czując znajomy ucisk w żołądku.

Minęły cztery lata, ale dzień bez wyciągnięcia tej sprawy to najwyraźniej dzień stracony. Tym razem jednak wiadomość wygląda inaczej, nie jest to kolejny komunikat od internetowych trolli ociekających nieważnością i żółcią.

Nie, to coś całkiem innego.

OD: benedict.prince@theabbeyclinic.com

DO: ordinand2@stmargaretschurch.org

TEMAT: Spotkanie z Anną Ogilvy

Droga Pani Shepherd,

proszę wybaczyć ten niespodziewany e-mail. Nazywam się Benedict Prince i współpracuję z Abbey Sleep Clinic przy Harley Street. Jak zapewne

Pani wiadomo, Pani córka została niedawno przewieziona do nas przez Ministerstwo Sprawiedliwości w celu przeprowadzenia terapii.

Od Stephena Donnelly'ego, zastępcy dyrektora do spraw prawnych w Ministerstwie Sprawiedliwości, otrzymałem upoważnienie do kontaktowania się z członkami rodziny panny Ogilvy w ramach nowego programu terapeutycznego. Moja praca polega na określeniu modelu diagnostycznego w syndromie rezygnacji.

W związku z tym bardzo chciałbym porozmawiać z Panią w najbliższym możliwym terminie. Mieszkam w okolicach kościoła św. Małgorzaty; proszę o zaproponowanie odpowiadającego Pani terminu i godziny spotkania. W załączeniu przesyłam swoje CV, kwalifikacje zawodowe oraz wykaz publikacji naukowych mojego autorstwa.

Będę wdzięczny za szybką odpowiedź.

Z poważaniem

Ben

Dr Benedict Prince

Specjalista ds. snu, Abbey Sleep Clinic

Podniósłszy wzrok, Emily zauważyła, że herbata z jej kubka cieknie cienką strużką na dywan. Na szczęście w pobliżu nie ma żywej duszy. Znajduje szafkę ze środkami czystości i osusza dywan najlepiej, jak umie. Szczotka i środek czyszczący zwykle pozwalają usunąć plamy, zanim na dobre wsiąkną we włosie. Robi, co może, i zostawia mokry ślad z nadzieją, że nikt go nie zauważy.

Markotnie przechodzi do głównej części kościoła i siada w jednej z przednich ław. Czyta e-maila po raz trzeci, a potem otwiera dołączone pliki PDF. Znajduje się w nich mała fotka przedstawiająca przystojnego mężczyznę mocno po trzydziestce lub tuż po czterdziestce z wijącym się na gładkim czole kosmykiem włosów, szmaragdowymi oczami i jednodniowym zarostem. Doktor Benedict Prince. Był taki czas, gdy każdy lekarz wyglądał niczym młodsza wersja Spocka ze *Star Treka*. Słyszała o Abbey, czymś w rodzaju azylu dla celebrytów. Mogłaby się założyć,

że każda gwiazdka klasy B chciałaby się umówić na spotkanie z takim przystojniakiem. Nie obwiniały ich za to.

Emily odkłada telefon. Odzyskuje regularny oddech. Zrobiła, co w jej mocy, zajęła umysł podrzędnymi zadaniami nowej ordynariuszki, żeby odwrócić uwagę od innych myśli. Ale teraz, z nadejściem wieczoru, jej mechanizmy obronne zaczynają szwankować. Czuje, jak powracają znane koszmary. Postrzega wszystko jak na filmie: dźwięki, smród błota, nóż śliski od krwi... cały koszmar, jaki rozegrał się na Farmie tamtej nocy.

Najgorszą chwilą był ten ułamek sekundy, gdy stary świat przeobraził się w coś całkiem innego. Wciąż gdzieś w głębi duszy pielęgnuje nadzieję, że Anna wyskoczy z łóżka i ogłosi, że cała ta sprawa to jedna wielka mistyfikacja, albo że Theo odśloni kulisy zdarzeń i powie, że cztery poprzednie lata tak naprawdę nigdy się nie wydarzyły.

Mimo to wciąż ma przed oczami ten jeden konkretny moment, w którym straciła całą nadzieję. Pamięta siebie i Richarda tkwiących w upiornie milczącym oczekiwaniu. Świadomość, że wkrótce przyjedzie policja. Że Anna zostanie aresztowana, a ona, Emily, będzie musiała ustąpić ze stanowiska. Rodzina, małżeństwo, przyszłość – wszystko to miało się najpierw zachwiać, a potem runąć. Mimo to szanuje chwilę, gdy stali na Farmie, patrząc, jak na ich oczach rozpada się cała ich dotychczasowa egzystencja. Ostatnie ciche sekundy, które stały się elegią ich przeszłości.

Drzwi dla gości w kościele św. Małgorzaty otwierają się ze skrzypnięciem. Nagły odgłos budzi w niej nerwowe odruchy. Wewnętrznie rozdgotana wstaje z ławki i wraca myślami do teraźniejszości. Do środka wchodzi przygarbiona starsza kobieta z wnukiem. Wyraźnie jest obeznana z miejscem. Emily uśmiecha się i kiwa głową, po czym zabiera się do porządkowania śpiewników w stallach chóru po drugiej stronie świątyni.

Oczywiście nikt inny nie pojął motywów ich postępowania. Na miejscu byli tylko Richard i Theo, a chorobliwa otoczka tajemnicy stopniowo zarażała wszystko, aż doprowadziła do rozpadu małżeństwa i rodziny. I nikt inny tak naprawdę nie wiedział, co wydarzyło się tamtej nocy i jakich straszliwych wyborów trzeba było dokonać.

Emily kończy układanie śpiewników i rusza w stronę ołtarza. Przystaje zafascynowana wypolerowanymi złoceniami i nieodmiennie zachwycona jego majestatem. Zerka za siebie i widzi, że dwoje wiernych jest zajętych swoimi sprawami.

Tłumi przebiegający ją dreszcz. Klęka i zamyka oczy. Pochyla głowę i zaczyna się modlić.

Bóg jej wybaczy. Nawet jeśli nikt inny tego nie zrobi.

LOLA

Ta historia nie została zapomniana przez czas. Co jest dziwne, zważywszy, że każdy inny krzyczący nagłówek – morderstwo, skandal i co tylko chcesz – pojawia się rano, a po południu już ulatuje ze zbiorowej pamięci. Ludzie brylują w mediach społecznościowych przez kilka godzin, by potem rozpląnąć się w niebycie. Czasami Lola zastanawia się, ile morderstw zostało popełnionych w ciągu czterech lat od tamtej nocy na Farmie. Było ich na całym świecie mnóstwo, ale żadne nie trafiło na pierwsze strony gazet z taką regularnością jak to.

Sprawa Anny O od początku miała w sobie coś wyjątkowego.

Jakąś chorobliwą fascynację. Lola jest gotowa przyznać to jako pierwsza. Najpierw pojawiły się grupy na Facebooku, a gdy zaczęło się na nich roić od nieproszonych gości, zastąpiły je poważniejsze, szyfrowane kanały komunikacyjne. Teraz w każdej strefie czasowej istnieją społeczności takie jak: @SprawiedliwośćDlaŚpiącejKrólowny, @JestemZaAnnąO, @ObudźSięAnno, @PrawdaOFarmie. Lola chętnie zagląda do nich anonimowo i równie cicho je opuszcza. Ale nadmiar płynących z nich informacji jest szkodliwy dla mózgu.

Ten dzień może się jednak stać punktem zwrotnym, naznaczonym jej najważniejszym jak dotąd wpisem na blogu. Nic nie sprawia jej większej frajdy. Może dokończyć swoją zmianę, splukać z siebie resztki kolejnego nudnego dnia, a potem zająć się prawdziwą pasją. Lola uruchamia YouTube'a i kanał uczelni Birkbeck, żeby dokończyć oglądanie najnowszego wykładu: *Psychologia i sen – wprowadzenie. Benedict Prince, profesor wizytujący na Birkbeck, Uniwersytet Londyński.*

Podkręca głośność i nadstawia uszu.

Przeciętny człowiek spędza jedną trzecią życia, śpiąc. Starożytni uważali sen za rodzaj śmierci. Poeci go opiewali i nazywali drugim życiem. Sen jest

osobnym światem, na który współczesne społeczeństwo ledwie zwraca uwagę. Ale co tak naprawdę się dzieje, gdy śpimy? A co ważniejsze, dlaczego po przebudzeniu nie pamiętamy, co się we śnie wydarzyło...?

Jest niezły. Musi mu to oddać. Przypomina jej Robina Williama z *Stowarzyszenia Umarłych Poetów*. Elegancko przystrzyżony, z modnie wygolonym po bokach zarostem w popielatym odcieniu blond. Preferuje niebieskie koszule, które nosi z rozpiętym kołnierzykiem, ciemne luźne bawełniane spodnie i stylowe mokasy – wygląda, jakby za chwilę miał wziąć udział w przesłuchaniu do najnowszego popularnonaukowego filmu dokumentalnego na BBC2. Uważa go za przystojnego w ten szczególnie ujmujący sposób, w jaki bywają niekiedy bibliotekarze, z symetrycznym uśmiechem i atrakcyjnym ukształtowaniem kości policzkowych. Musi mieć stado wiernych wielbicielek wśród swoich studentek.

Słucha dalej. Padają dowcipy związane z Freudem; wiele dowcipów. Rozmawia ze studentami o tym, ile ludzie zwykle śpią, kto śpi za mało albo za dużo, a kto śpi razem. Wykład kończy się żartem na temat Freuda – jakże by inaczej – po którym Lola wyłącza film i wraca do pisania nowego artykułu.

Tak, będzie przełom. Ma pewność. Posunęła się nawet do tego, żeby podszyc się pod dziennikarkę z „The Mail” zajmującą się sprawami zdrowia, żeby sprowokować Abbey; podsunęła im fałszywy trop, by ich zmylić. Nikt jej teraz nie powstrzyma.

Przed opublikowaniem wpisu Lola wykonuje swój zwykły rytuał. Robi filiżankę zielonej herbaty, raczy się czekoladowym ciastkiem i wraca do laptopa, żeby raz jeszcze przeczytać całość. Wpisy innych ludzi są naszpikowane błędami, a ona niezmiennie uważała za powód do dumy, że każda publikacja na blogu @trefna8 jest absolutnie bezbłędna. Angielski nigdy nie był jej ulubionym przedmiotem w szkole; w głębi serca zawsze bardziej ceniła nauki ścisłe, lecz nie toleruje niechlujstwa. Nie jest jedną z tych świrusek z blogosfery, które kultywują teorie spiskowe, ani zagorzałą fanką znającą każdy niuans sprawy Anny O. Ci ludzie mogą być jej czytelnikami, ale każdy wie, że Lola stawia sobie poprzeczkę znacznie wyżej.

Czyta powoli, przeczesując każdą linijkę pod kątem zrozumiałości i błędów.

NOWY WPIS: PRYZYSTOJNY KSIĄŻĘ ZOSTAJE WEZWANY DO ŚPIĄCEJ KRÓLEWNY

Cześć wszystkim; mam dla Was małą aktualizację. Do @trefna8 docierają słuchy, że w sprawie naszej ukochanej Anny O doszło ostatnio do zaskakujących zmian. Pragnę poinformować, że przypadek Anny jest badany przez nowego brytyjskiego eksperta do spraw snu, którego nazwisko, o ironio, oznacza księcia. Oto odsyłacz do jednego z wykładów doktora Benedicta Prince'a, bo o nim tu mowa, na temat teorii snu i jej związku z zachowaniami przestępczymi. Zważywszy na porę publikacji, trudno uwierzyć, że mamy do czynienia z dziełem przypadku. Wiemy, że władze próbują przywrócić naszą ukochaną Annę do życia tylko po to, by посадzić ją na ławie oskarżonych. Czy to nie jest chore? Doktor Prince pisał o potężde muzyki i kultury, które pomagają pacjentom z syndromem rezygnacji wyjść ze stanu śpiączki. Wygląda na to, że rząd chwyta się ostatniej deski ratunku. Na Annę kładzie się cień i musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy, by ją uratować.

Wcześniejsze doświadczenia nauczyły Lolę zwięzłości. Najlepsza jest aura tajemnicy. Zagorzali sympatycy będą bombardowali ją pytaniami. Potem wpis pojawi się na innych platformach. Szczegóły zawsze można dopisać później. A na razie najlepiej zostawić czytelników z poczuciem niedosytu. Zresztą nie bez powodu wybrała swój nick oznaczający ósemkę podejrzanych. Lola ma coś, czego nie ma nikt inny. Zgodnie z oficjalnymi relacjami ze sprawy Anny O, w noc morderstwa na Farmie było ośmioro podejrzanych: Anna Ogilvy (główna podejrzana), Emily Ogilvy (matka), Richard Ogilvy (ojciec), Theo Ogilvy (brat), Melanie Fox (właścicielka), Owen Lane (zarządca), Danny Hudson (stażysta) i Lola Ridgeway (konsultantka do spraw BHP). Każdy został przesłuchany pod kątem zbrodni. I każdego wykreślono z dalszego toku dochodzenia.

Ale nie wszyscy zostali z pustymi rękami. Lola sięga po pamiętnik i kartkuje go od początku do końca. To jej skarb, Święty Graal dla wielbicieli sprawy, zabrany z Błękitnej Chatki przed przybyciem policji. Źródło wszystkich pikantnych szczegółów i wskazówek, jakie opublikowała na przestrzeni czterech minionych lat. Zerka na ostatni wpis w pamiętniku

i pochyłe pismo – piękną kursywę wypisaną kruczoczarным atramentem, niemal identyczną z poprzedzającymi ją notatkami. Wpis sporządzony klasycznym wiecznym piórem, a nie piórem kulkowym czy prozaicznym długopisem. W każdej ciasno zapisanej linii pyszną się kaligraficzne ozdobniki. Wdycha zapach stron. Ten notes należy do niej.

Lola odkłada notatnik i niechętnie kończy przeglądać nowy wpis na blogu. Klika przycisk „Opublikuj”. Czeką, aż system kryptograficzny zrobi swoją robotę i artykuł trafi do internetu. Wraca do pamiętnika, jak zawsze gotowa ponownie dać się pochłonać jego kartkom. Bo to nie jest jakiś tam pamiętnik.

To dziennik Anny.

Kładzenie się spać tej nocy nie ma sensu. Gdzieś na świecie zawsze nie śpią jacyś ludzie. I nawet nie zdają sobie sprawy z tego, kto jest wśród nich. Nie następną zwykłą blogerka, o nie. Nie smutaska, która nie wyściubia nosa ze swojej sypialni, karmiąc się marzeniami o byciu Sherlockiem w spódnicy.

Jest całkiem inna. Wyjątkowa. Wskazówka kryje się w jej pseudonimie. @trefna8.

Bo Lola była na Farmie tamtej nocy.

I zna sprawcę.

PAMIĘTNIK ANNY

2019

30 sierpnia

Na zewnątrz panuje mrok, choć to poranek, a nie wieczór. Jest cicho. Pewnie śpię, lecz nie mogę się obudzić.

Moje ubrania są lepkie od krwi. Ścieka po szyi, znaczy brodę mokrymi kleksami. Nawet teraz, gdy piszę te słowa, plami kartki czerwienią.

To jedno wspomnienie nie chce mnie opuścić.

Stoję w drzwiach chatki. Patrzę przed siebie i widzę ich oboje, śpiących snem wiekuistym w swoich łóżkach.

Z boku dociera do mnie czyjś głos. Kobięcy. Jadowity. Pożądliwy. Jego wskazówki nie dają mi spokoju.

To ostatni akt mojej zemsty.

Widzę postacie, kobietę i zimną rękojęść noża; słyszę niemal modlitewnie intonowane instrukcje.

Teraz nie ma już odwrotu.

Trzy słowa, które wyznaczają mój nowy początek.

Oni muszą umrzeć.



ANNA OGILVY NIE OTWORZYŁA OCZU OD CZTERECH LAT.

Od czasu nocy na Farmie, kiedy znaleziono ją pogrążoną w głębokim śnie, w zakrwawionym ubraniu i z nożem kuchennym w dłoni, tuż obok ciała jej dwojga najserdeczniejszych przyjaciół. Popelniła zbrodnię stulecia, lecz nikt nie jest w stanie wybudzić jej z sennego koszmaru.

Dla doktora Benedicta Prince'a, psychologa sądowego pracującego w klinice snu przy londyńskiej Harley Street, przebudzenie Anny O to sprawa, która może zadecydować o jego karierze. Jako ekspert od snu wie wszystko o najciemniejszych zakamarkach umysłu i sekretach ukrytych w podświadomości.

Rozpoczynając leczenie Anny O – badając sny swojej pacjentki, przeczesując jej wspomnienia, odwiedzając miejsce, w którym doszło do tragicznego zdarzenia – doktor Prince dotyka znacznie głębszej i mroczniejszej tajemnicy.

Przebudzenie Anny O to nie koniec historii, to dopiero jej początek.

Wierzący w jej niewinność mówią o niej Anna O. Ci, którzy są przekonani o winie, nazywają ją Śpiącą Królową. Ale ani jedni, ani drudzy nie mogą oderwać wzroku od jej historii...

FENOMEN NA GLOBALNĄ SKALĘ!
PRAWA SPRZEDANE DO 30 KRAJÓW!
NATYCHMIASTOWY BESTSELLER W KANADZIE, AUSTRALII I HOLANDII.

ANNA O. ŚWIAT O NIEJ USŁYSZY!